

## *Rozdział 1*

Po nieprzespanej nocy poranek miał bardzo ciężki. Gdyby nie dzisiejszy, bardzo ważny wykład – co z tego, że dla niego każdy był ważny – nie podniósłby się z łóżka. Leżałby w nim cały dzień i nic nie robił.

– Dlaczego nie jesz?

– Mamo, chciałabym żebym zjadał na śniadanie, obiad i kolację konia z kopytami.

– Jesteś chudy – narzekała siadając przy stole w nowocześnie urządzonej kuchni.

– Jestem w sam raz. Kanapka mi wystarczy. – Nie dość, że i tak nie lubił swojego ciała, to rodzicielka pragnęła go utuczyć. Chciał się wyprowadzić, ale najpierw musiał zarobić na wynajęcie czegoś. Mimo wszystko nie śpieszyło mu się, bo w domu miał wygodnie. To też jakaś zaleta, bo nie musiał się martwić chociażby rachunkami. Jednak i tak zamierzał poszukać pracy. Problemem tylko było jej znalezienie, kiedy chodziło się na zajęcia dzienne. Najczęściej przyjmowali na zmywak do restauracji, lecz nie uśmiechało mu się siedzenie godzinami w kuchni, marnowanie weekendów i pocenie się jak świnia. Właściwie to powiedzenie zawsze go śmieszyło, bo przecież świnia nie ma gruczołów potowych.

– Kanapka. Weź sobie chociaż coś kup...

– Mamo, przestań. – Wstał. – Lecę na zajęcia. – Nie sprząając po sobie wyszedł z kuchni.

W przedpokoju wyłożonym boazerią usiadł na małym stołeczku i zaczął zakładać już nieźle przechodzone adidasy. Przy okazji uderzył się łokciem o komodę na buty. Syknął rozmasowując bolące miejsce i starając się skupić na planie dzisiejszego dnia. Nie miał wiele zajęć. Środa była dniem pozwalającym mu odetchnąć od natłoku nauki. Jednak to właśnie tego dnia odbywały się jedne z najważniejszych zajęć i obecność na nich była obowiązkowa. Studiował na wydziale medycznym analitykę medyczną i myślał jeszcze nad biotechnologią. Marzyła mu się w przyszłości praca w laboratorium medycznym jako diagnosta, a nawet zamierzał zająć się jeszcze genetyką, ale to już w dalszej przyszłości.

Poklepał się po kieszeniach, żeby sprawdzić czy ma portfel i dokumenty. Zebrał kluczyki z wieszaka przy drzwiach wejściowych, założył płaszcz, ponieważ na dworze padało i było zimno. Jesień nie była w tych dniach złota i piękna. Wyszedł z domu, który rodzice kupili pięć lat wcześniej, bo mieli dość mieszkania w głośnym centrum miasta. Zdecydowanie

woleli spokojne przedmieścia. Na dworze lało jak z cebra, zimny wiatr owiał jego twarz, więc postawił kołnierz płaszcza. Jego kilkuletni samochód Toyota Camry – prezent od taty na rozpoczęcie studiów, mimo że on marzył o czymś innym – stał zaparkowany na podjeździe. Nacisnąwszy przycisk na pilocie rozbroił alarm i wsiadł do auta. Przeszukał jeszcze w pamięci, czy aby na pewno zabrał to, co było mu potrzebne na akademii. Wzdrygnął się, kiedy mocny podmuch wiatru uderzył w samochód, nawiewając na niego kilka gałązek. Dzisiaj naprawdę byłoby lepiej zostać w domu. Zanim jednak pozwolił sobie na głębsze rozmyślenia o pogodzie włożył kluczyk do stacyjki i uruchomił silnik.

Chwilę później wyjechał na ulicę. Przejeżdżając obok jednego z sąsiednich domów, po drugiej stronie ulicy zauważył, że zniknął znak „Na sprzedaż”, który stał tam dość długo. Zaciekawilo go kto kupił ten dom. Kierując się dalej włączył radio. Akurat spiker życzył udanego dnia witając słuchaczy, a chwilę później zgodnie z zapowiedzią, z głośników popłynął pierwszy utwór playlisty pod wspólnym tytułem: „Miłosne melodie”, a było nim znane „Only Love”. Roześmiał się w duchu do siebie. Idealny utwór do jego dzisiejszego nastroju. Ale nie przełączył na inną stację, jechał dalej ulicami w towarzystwie przepięknych piosenek o miłości.

Cóż to w ogóle za słowo „miłość”? Czy coś takiego w ogóle istnieje? Jeżeli tak, to na pewno tego nie poznał. Raz miał dziewczynę, ale tego, co było pomiędzy nimi nie można nazwać miłością. Nawet chemią, jak się mówi o niezwykłym pociągu fizycznym. Pomiedzy nimi nie iskrzyło, byli razem, chociaż dzisiaj sam nie wiedział dlaczego. To było ze dwa lata temu i chyba chodziło o to, że każdy kogoś miał, więc i on nie chciał być sam. Wtedy interesowała się nim ładna, o rok młodsza dziewczyna. Poszedł z nią kilka razy na randkę i właściwie za każdym razem z ochotą wracał do domu. Zerwała z nim, kiedy chciała czegoś więcej, a on powiedział, że nie chce się śpieszyć i w tym wieku wiązać na całe życie. Od tamtej pory nie miał nikogo. Nie potrzebował dziewczyny. Planował skupić się na nauce, a resztę odłożyć na później. Tym bardziej, że nie ciągnęło go do dziewczyn tak bardzo, jak jego kolegę, który sypiał z każdą, jaka mu wpadła w oko.

Źle mu się jechało w deszczu. Mimo, że wycieraczki pracowały pełną parą i tak fala wody zalewała przednią szybę. Nie znosił takiej pogody. Zmrużył oczy, żeby coś dojrzeć, gdy skręcał w ulicę, przy której mieściła się akademia. Na szczęście droga była prawie pusta. Nieliczne samochody należały do dojeżdżających studentów, a większość i tak mieszkała w pobliskich akademikach i na uczelnię szła pieszo. On wolał mieszkać w domu, niż gnieść się w akademiku, gdzie miałby problem z nauką wśród wszechobecnego hałasu. Większość studentów była tu po to, żeby się zabawić, lecz nie on.

W radio coś zatrzeszczało, więc spojrzał na nie i już miał przełączyć na inną stację, kiedy wszystko wróciło do normy. Gdy uniósł wzrok zobaczył, że pod koła jego samochodu wychodzi jakaś postać. Natychmiast zaczął hamować. Postać zauważyła go i oparła się rękoma o maskę samochodu, a potem odbijając się od niej zniknęła. Serce Matta zamarło. Czuł, jak siarczyste zimno wpełza w jego ciało, a włosy na głowie stają dęba. Właśnie zabił człowieka. Wyobraził sobie, jak ten ktoś leży pod kołami jego samochodu i wykrwawia się na śmierć.

Z duszą na ramieniu wypadł z samochodu i podbiegł na jego przód, szukając w kieszeni telefonu, by dzwonić po pomoc. Stał przed maską pojazdu i zamrugał.

W ogromnej kałuży, siedział mężczyzna w długim płaszczu i czapce na głowie, kompletnie przemoczony i zły.

– Nic się panu nie stało? – zapytał Matt Montgomery.

Nieznajomy spojrzał na niego. Student wzdrygnął się, kiedy dostrzegł jak bardzo dziwne oczy ma ten człowiek. Jakby pozbawione tęczówek, ale mógł się mylić, w końcu nie było aż tak jasno, a deszcz jeszcze mógł spotęgować dziwne wrażenie.

– Czy nic mi się nie stało? – warknął. – To jest nic? – Wyrzucił ręce na boki. – Chciałeś mnie przejechać?

Matt zmarszczył brwi. Coś się w nim wzburzyło na to pytanie.

– To pan... to ty nie sprawdziłeś wchodząc na drogę, czy jest bezpiecznie.

– A ty nie mogłeś sprawdzić, czy na chodniku nie ma kogoś, kto mógłby chcieć przejść na drugą stronę? – Mężczyzna wstał.

Był bardzo wysoki. Montgomery miał nawet wrażenie, że jest wyższy od niego, i dość szczupły. Nosił długi, czarny płaszcz zapinany tylko do bioder, przez co dół się rozchyłał, oraz ciężkie buty z wysokimi cholewkami i wąskie spodnie opinające łydki.

– Piesi to nie święte krowy, więc też powinni uważać. Szczególnie w taką pogodę. – Po co on z nim dyskutuje stojąc na ulicy w deszczu, którego szum zlewał się z kolejną romantyczną melodią płynącą z radia, bo oczywiście nie zamknął drzwi samochodu, ale może deszcz nie zacinał do środka.

Nieznajomy prychnął i podszedł do Matta. Chłopak mógł teraz zobaczyć jego oczy niemalże pozbawione tęczówek. Ale one tam były, tyle że bardzo blade.

– Przeszkadza ci taka pogoda? Więc co tu robisz? Ach, już wiem! – Uniósł palec – Lubisz potrącać ludzi.

– Podkreślam, to nie jest... – warknął Matt i przerwał, by wziąć oddech. Na ogół jest spokojny, ale w tej chwili szybko kończyła mu się cierpliwość – To nie moja wina. I gdyby...

– Na pewno nie moja – wtrącił nieznajomy, wbijając w Matta natarczywe spojrzenie, w którym tańczyły iskiereki rozbawienia.

– Myślę, że powinniśmy zakończyć tę dyskusję. – Wsunął rękę do kieszeni. Marzył. Do tego mókł i niewiele brakowało, żeby zaczął szczekać zębami.

– Dlaczego? Mnie się bardzo fajnie rozmawia. A może się denerwujesz, że zażądam zadośćuczynienia za potrącenie?

– Jeżeli jeszcze raz obwinisz... – Nie dane było Mattowi dokończyć.

– Uznajmy, że nikt tu nie zawinił, bo w przeciwnym razie byłbyś mi coś winien. Ale ja niczego od ciebie nie chcę. A może to ty człowieku chcesz czegoś ode mnie? – Zaczął zbliżać się do Matta. Chłopak cofnął się, natrafił jednak na otwarte drzwi samochodu. – Może chciałbyś zaciągnąć mnie do łóżka.

– Słucham?! Zwariowałaś?! Sądzisz, że chciałabym z tobą uprawiać seks? Nie jestem gejem. Chyba coś ci się pomyliło. – Miał do czynienia z wariatem. Może facet uciekł z jakiegoś szpitala psychiatrycznego? Powinien wsiąść do samochodu i odjechać. Zostawić za sobą tego dziwaka. Tymczasem stał tutaj, w dalszym ciągu moknąc i czekał na odpowiedź.

– Wyglądasz mi na kogoś, kto potrzebuje ulgi i zapomnienia. A seks jest w tym względzie najlepszym wyjściem. – Podszedł jeszcze bliżej Matta, który nie mógł przed nim uciekać. Z radia popłynęła kolejna piosenka, wykorzystana w filmie „Uwierz w ducha”.

– Wydaje ci się, że tak łatwo potrafisz odczytać ludzkie zamiary? – Montgomery zmarszczył brwi. Byli jednak równego wzrostu, więc mógł mu z łatwością patrzeć w oczy. Wydawało mu się, że skóra na twarzy tego człowieka jest bardzo jasna.

Obok przejeżdżał samochód, a gdy spojrzeli w tamtą stronę dostrzegli pukającego się w czoło kierowcę. Po chwili ponownie na siebie spojrzeli.

– Znam ludzi. Wiem nawet czego teraz chcesz. – Przysunął się jeszcze bliżej. Tak blisko, że Mattowi zaczęło to sprawiać dyskomfort, ale nieznajomy doskonale się bawił. – Jesteś ciekawy jak czułbyś się z moimi dłońmi na swoim ciele? – Przechylał prowokująco głowę raz w jedną, raz w drugą stronę. Doskonale się bawił.

– Po co mi to mówisz? Nie obchodzi mnie to. Dlaczego przypisujesz mi to, czego sam chcesz? Mnie to nie interesuje.

– Czyżby? – Uniósł jasne brwi, a na jego blade usta wypłynął drwiący uśmiešek. – Jesteś ciekawy kim jestem, skąd się tu wziąłem, dlaczego tak wyglądam i czego od ciebie chcę. A czego chcę? Tylko małej nagrody za pobrudzony płaszcz.

– To znaczy? – Gdyby teraz ktoś zmierzył mu puls, a najlepiej ciśnienie, zabrakłoby skali. Serce mu szalało i mógłby przysiąc, że słyszy szum krwi w uszach, pomimo dudnienia deszczu.

Nieznajomy uśmiechnął się lekko, a potem pochylił się i musnął jego usta. Zrobił to tak delikatnie, że gdyby chłopak nie miał otwartych oczu, nie uwierzyłby, że to był jakiś pocałunek. Potem jego usta zostały muśnięte po raz drugi i trzeci, tak szybko, że nie zdążył zareagować.

– Właśnie tego. Pocałunków w deszczu – odparł mężczyzna w czapce, a potem jakby nigdy nic odwrócił się i zaczął odchodzić unosząc rękę w geście pożegnania.

Był po drugiej stronie ulicy, kiedy Montgomery ocknął się i zawołał:

– Ej, ty! Dlaczego to zrobiłeś?

Mężczyzna zatrzymał się.

– Bo chcę, żebyś o mnie myślał.

– Nigdy w życiu! – Temu facetowi po prostu odbiło. Co on sobie wyobrażał? Za kogo się uważał? Żałował, że dzisiaj nie został w domu.

– Czyżby? Czuję, że się jeszcze spotkamy. – Nieznajomy odwrócił się, uklonił i odszedł sprężystym, tanecznym krokiem pozostawiając chłopaka z głową pełną pytań i dziwnym uczuciem odchodzącym już po pocałunkach.

Na nogach niczym z waty przytrzymał się drzwi, by nie upaść. Pocałował go mężczyzna, a on stał jak kolek. Brzydził się przemocą, ale powinien dać mu po pysku. Nie zrobił tego, w ogóle niczego nie zrobił! Może to i dobrze? Facet nie wyglądał na zdrowego na umyśle, więc lepiej, że tak to się odbyło.

Wsiadł w końcu do samochodu i skrzywił się, bo jak nic zamoczył siedzenie. Przecież z jego płaszcza i włosów kapłała woda. Musiał wyglądać jak zmokła kura. Wyłączył radio, bo właśnie kolejny utwór dobiegł końca i zaczął się nowy mówiący o wielkiej miłości. Próbował zrozumieć co się chwilę temu stało. Może jeszcze śpi i to jest sen? Jakie to miało znaczenie? Sen czy jawa i tak musiał iść się uczyć, a to spotkanie po prostu spisać na karb dziwnych sytuacji w jego życiu. Nie żeby takowe były. Pocałunku także nie było. To już na pewno tylko przywidzenie. Nieczysta mara mieszająca w głowie.

I co do jasnej cholery oznaczało: „Czuję, że się jeszcze spotkamy?”

\*

– Dayne, chyba zwariowałeś. Złaź stamtąd – poprosiła Cristina.

– Nie mogę. Jestem ptakiem i mogę latać – odpowiedział wieszając tablicę matematyczną na haku w ścianie – więc nie zlecę.

– Jesteś człowiekiem, a ten stołek się chwieje. – Patrzyła ze zgrozą na kuzyna stojącego na stołku postawionym na stole i ryzykującego własne życie.

– Zawsze się chwieje.

– Drabina...

– To za proste, kochana kuzyneczko. – Zszedł na stół, a potem zwinnie zeskokczył na podłogę w sali wykładowej. Położył dłonie na jej ramionach i pocałował ją w oba policzki. – Gotowe. Jak widzisz, żyję. – Rozrzucił ręce na boki, a rękawy niebieskiego swetra, który bardziej nadawał się dla siedemnastolatka niż dwudziestoczwololatka, obsunęły się aż do łokci.

Dziewczyna przewróciła oczami i usiadła zrezygnowana.

– Zawsze będziesz tak ryzykować? Sądysz, że jesteś nieśmiertelny? Zachowujesz się niepoważnie. Mógłbyś przystopować.

– Życie nie może być poważne. Nie chcę się nudzić.

– Wejście na drabinę byłoby zbyt nudne?

– Właśnie tak. Nareszcie to zrozumiałaś. – Zabrał się za przesuwanie stołu. Musiał zawiesić jeszcze jedną taką tablicę, zanim zacznie się wykład.

– Nie mów, że znów to zrobisz. – Cristina tylko pacnęła się dłonią w czoło na jego odpowiedź w postaci szerokiego uśmiechu i wyszła z sali, woląc nie oglądać akrobacji w wykonaniu starszego kuzyna, który sądził, że ma dziewięć żyć niczym kot.

Dayne tymczasem wzruszył ramionami i wspiął się na prowizoryczne rusztowanie. Bez trudu powiesił nową tablicę tym razem dotyczącą fizyki i zszedł. Nie miał pojęcia czego obawiała się kuzynka. Raz się żyje. Posprzątał wszystko, bo doktor Stallman urwał by mu głowę za pozostawienie stołu i stołka na środku. Bycie asystentem tego człowieka nigdy nie było nudne, ale często ryzykowne. Stallman lubił wyrzucać studentów z zajęć i utrudniać zdanie egzaminów, jeżeli ktoś mu nastąpił na odcisk. Może dlatego Dayne Wheller tak go lubił?

Skierował się po swój przemoczony i brudny płaszcz. Wciąż śmiać mu się chciało na widok miny tego chłopaczka. Dzieciak przestraszył się, że go zabił.

– Ubaw po pachy. – Wziął swoje rzeczy i wyszedł z pomieszczenia, które niedługo zapelni się studentami ostatniego roku. Też powinien być obecny na tych zajęciach, ale miał lepsze plany. Stallman wybaczy mu kolejną nieobecność. Nie zamierzał brać pod uwagę tego, że w końcu wykładowca będzie miał go dość i zakaze mu przychodzić na swoje wykłady, na które ciężko było się dostać. Genialny fizyk prowadził zajęcia tak, że studenci wszystko

rozumieli i miał do niego słabość. Tak, doktor Stallman patrzył na niego jak na deser, a on to wykorzystywał. Może igrał z tym, jak z rosyjską ruletką, ale było to zabawne. Przecież życie to istna zabawa.

– Wheller, a dokąd to? – padło pytanie z głębi korytarza.

– Znowu ty. – Dayne przystanął. Przechylił głowę w bok przyglądając się niskiemu studentowi, którego niedawno mianowano na starostę jego rocznika. – Czy ja się ciebie kiedyś pozbędę?

– Jak w końcu wylecisz z uczelni. Nie wiem jakim cudem tutaj jeszcze jesteś. Nie uczysz się, nie słuchasz nikogo, bawisz się jak mały chłopiec i jakimś cudem zdajesz egzaminy.

– Nie pomyślałeś, że jestem geniuszem? – zapytał przeciwnika. – Zejdź mi z drogi, idę szukać swojego szczęścia w stołówce. Jestem potwornie głodny. Dołączysz się?

– Opiekunka roku cię wzywa – poinformował starosta, często zwany konfidentem, bo to do niego idealnie pasowało.

– Powiedz jej...

– Powiedziała, żebyś się pojawił nawet jeżeli jesteś na końcu świata. Moje zadanie wykonane.

– A idź do diabła! – Chciało mu się jeść, a nie spotykać z opiekunką. Nie miał jednak wyjścia, bo jak Stallmanem mógł kierować, tak ta kobieta w ogóle nie była pod jego urokiem. Znow dołoży mu zadań, a on nie chciał być za nic odpowiedzialny. Zawrócił i zamiast do stołówki ze zbolałą miną skierował się w przeciwnym kierunku.

\*

Matt po zakończeniu kolejnego wykładu z ulgą powitał godzinę przerwy. Jak lubił się uczyć, tak tego dnia nauka go męczyła. Poważnie rozważał powrót do domu. Jedyne, co go powstrzymywało, to nieuniknione pytania matki. A dlaczego wróciłeś, a czy coś się stało? Jeżeli by nie poszedł uwierzyłaby, że nie ma dzisiaj zajęć. Kochał rodzicielkę, ale jej wścibstwo i ciekawość działały mu na nerwy. Zresztą nie znosił pytań. W ogóle to wolał siedzieć sam. Nawet bycie wśród tych ludzi męczyło go, ale chciał się uczyć i to był efekt uboczny. Zdecydowanie wolał samotność, zamknięcie się w pokoju i książki. Nie zawsze, bo czasami i samotność mu doskwierała, ale w dużych grupach czuł się źle. Może przez to marzył o pracy w laboratorium. Robiłby swoje, z dala od ludzi, siedząc z nosem przy mikroskopie i opisując wyniki.

Idąc powoli długim korytarzem budynku, w którym mieścił się wydział medyczny poddał się rozmyśleniom jak to on, przez co zderzył się z kimś, a książki, które trzymał wypadły mu z rąk i z łoskotem upadły na drewnianą podłogę wprost pod ciężkie buty. Podążył wzrokiem wzdłuż długich cholewek, wąskich spodni otaczających łydki, szczupłych ud od połowy których zaczynał się niebieski, powyciągany sweter. Sunął wzrokiem dalej w górę przez wklęsły brzuch, tors, odsłonięte kości obojczyka, szyję docierając do znajomych białych ust, cery i tych niepokojących oczu, patrzących na niego świdrująco.